



Z książki:

O. Jacek Salij

Tajemnice Biblii

Dwunastoletni w Świątyni

„Chyba oszalałabym, gdyby moje dziecko się zgubiło na całe trzy dni – napisała kiedyś do mnie jedna matka. - Jak Pan Jezus mógł wystawić swoją matkę i swego opiekuna na takie przeżycia? Przecież mógł ich uprzedzić o tym, że chce zostać w Jerozolimie!”

Wydaje mi się jednak, że nie jest czymś słusznym porównywać ból Maryi i Józefa z rozpaczą zwykłych rodziców, kiedy im się zagubi dziecko. Owszem, jest poza dyskusją, że bardzo trudne i pełne niepokoju były dla nich te trzy dni poszukiwań. „Synu, czemuś to nam uczynił? Oto ojciec twój i ja z bólem serca szukaliśmy ciebie” – poskarżyła się wtedy Matka Najświętsza.

Nie zapomnijmy jednak o tym, że stoimy tu wobec Bożej tajemnicy. Nie nam rozstrzygać, czy już wtedy Maryja i Józef byli w pełni świadomi tego, że to Dziecko jest Synem Bożym. Ale z całą pewnością wiedzieli co najmniej o tym, że nie jest to zwykłe dziecko, że jest ono najszczególniejszym darem Bożym dla ludzi. Zakładam, rzecz jasna, że zastanawiamy się nad tym problemem w wierze, gdyż inne podejmowanie tego tematu w ogóle nie miałyby sensu. Otóż nie zapomnijmy o cudownych okolicznościach poczęcia i narodzin tego Dziecka. Ewangelista wyraźnie zaznacza, że „Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” (Łk 2,19). Ten Dwunastolatek nie tylko nie był zwykłym dzieckiem, ale Maryja i Józef dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Toteż ich ból, spowodowany Jego zagubieniem, musiał być specyficzny, inny niż ból zwykłych rodziców.

Z właściwą sobie wnikliwością zauważył to już wielki Orygenes. Ból Maryi i Józefa porównuje on do bólu, jaki przeżywa chrześcijanin, kiedy natrafia w Piśmie Świętym na zdania jak gdyby sugerujące, że Pan Bóg jest okrutny, albo w inny sposób trudne do pogodzenia z wiarą. Chrześcijanin cierpi wówczas, bo nie umie odnaleźć Bożej mądrości, która w tych zdaniach się znajduje. Jednak przecież nie lęka się o to, że Pismo Święte się myli, ani o to, że może wiara Kościoła odbiega od Pisma Świętego. Co więcej, ból ten jest błogosławiony, bo pobudza do poszukiwań – i w końcu odnajdujemy w tych trudnych miejscach Biblii taką głębię, jakiejśmy się nawet nie

spodziewali. Podobnie – powiada Orygenes – było z bólem Maryi i Józefa: „Dlaczego Go szukali? Czyżby bali się o to, że zaginął albo zabłądził? To niemożliwe: czyż mogli się obawiać tego, że zginie Dziecko, o którym wiedzieli, że jest Panem?”

Warto zdać sobie sprawę z tego, że w naszym przeżywaniu wiary raz po raz musimy cierpieć ból podobny do tego, którego doświadczyli wówczas Matka Chrystusa i Jego dziewiczy ojciec. Przyjdzie czasem na człowieka lub na jakąś ludzką wspólnotę doświadczenie zupełnie ponad nasze siły. Rozglądamy się z niepokojem za Chrystusem, bo sami przecież nie sprostamy tej sytuacji – a On jakby gdzieś zaginął, jakby nas zostawił samym sobie. Nie ma wówczas rzeczy ważniejszej niż to, żeby nie uwierzyć tym odczuciom. Trzeba wówczas – choćby wbrew wszystkiemu – wierzyć Chrystusowi, że nie kłamał, kiedy nam obiecywał, iż będzie z nami po wszystkie dni aż do skończenia świata.

Jak jednak wówczas wytłumaczyć to, że Chrystus jakby gdzieś zaginął, jakby przestał się nami interesować? Otóż jest dokładnie odwrotnie. I naprawdę w to uwierzmy. To nie Chrystus zaginął, ale myśmy się zagubili. Chrystus jest w Świątyni, to znaczy w samym środku mojej duszy, w miejscu przeznaczonym na mieszkanie dla Boga. I czeka na mnie, i wzywa mnie do siebie. Ja nerwowo szukam Go wokół siebie, zaczynam już posądzać Go o nielojalność, a On – zapewne z tym niepokojem, do jakiego tylko miłość jest zdolna – woła do mnie: „Człowiecze, czyż nawet utrapienia nie zdołają cię zmusić do tego, żebyś wreszcie wrócił do samego siebie, żebyś wreszcie odzyskał sam siebie? Wróc do siebie, a tam mnie znajdziesz, tam na ciebie z niecierpliwością czekam!”

Łatwo to mówić, ale dopóki nie osiągniemy celu naszej wiary, życia wiecznego, niejedną raz boleśnie odczujemy, że Chrystus jakby się nam zgubił. Nie mówię o wyraźnej niezgodzie z Bożymi przykazaniami, bo to jasne, że człowiek jest wówczas daleko od Chrystusa. Mówię o sytuacji, kiedy człowiek stara się być wierny Chrystusowi, nawet nie brak mu żarliwości, a mimo to odczuwa czasem, jakby Chrystus gdzieś się zagubił. Błogosławione to bóle, a tym bardziej błogosławione, im mniej naznaczone są grzechem, im bardziej są podobne do bólu Maryi i Józefa. Bo dzięki tym bólom dokonuje się jakieś nowe, głębsze zbliżenie do Chrystusa.

Drugie spojrzenie na pytanie, jak Pan Jezus mógł swoją dziewiczą Matkę wystawić na tak wielki niepokój, wydaje się nie mniej ważne: Opisane w Ewangeliach spotkania Syna Bożego z konkretnymi ludźmi nie są tylko opowieścią o wydarzeniach, które już minęły. Odzwierciedlają one różne rodzaje spotkań, które Chrystus Pan chce nam dzisiaj zaproponować. Wiąż, łącząca tych Dwoje, nie była Ich prywatną sprawą rodzinną, ma ona znaczenie – tak jak wszystko u Chrystusa – dla naszego zbawienia. Maryja nie była zwykłą matką, która rodzi dziecko, wychowuje je i drży, kiedy zagraża mu niebezpieczeństwo. Macierzyństwo Maryi było posługą dla zbawienia nas

wszystkich. Jak to pięknie nazwał papież Pius XII: jest Ona, Maryja, „przedziwną towarzyszką Chrystusa w dziele odkupienia”.

Przypatrzmy się różnym sytuacjom Jej posługi macierzyńskiej. W momencie Zwiastowania Ona nie tylko wyraziła zgodę na zostanie matką Syna Bożego. Maryja dała wówczas – i to wszystkim pokoleniom, aż do końca świata – przykład całkowitego zdania się na wolę Bożą. A matką Syna Bożego została wówczas dla nas wszystkich. Napęczniona Synem Bożym idzie z posługą do Elżbiety – i odtąd po tym rozpoznajemy, iż mieszka w nas Chrystus, że staramy się, podobnie jak Ona, być wrażliwymi na cudze potrzeby. I tak można rozważać uniwersalny sens macierzyństwa Maryi aż do samej Kalwarii, a nawet aż po Zesłanie Ducha Świętego i pierwsze lata Kościoła. Pod Krzyżem Ona przecież nie tylko cierpiała, podobnie jak cierpiałaby każda matka wobec tak strasznej krzywdy, wyrządzonej jej dziecku. Pod Krzyżem Ona uosabiała tych wszystkich, którzy nie porzucają Chrystusa nawet wówczas, kiedy On zdaje się ostatecznie przegrywać. Uosabiała Ona również tych wszystkich, którzy wiernie towarzyszą Chrystusowi cierpiącemu w najbardziej bezbronnych i bezradnych.

Jaki jest uniwersalny sens macierzyńskiego bólu Maryi, kiedy przez trzy dni razem z Józefem szuka zagubionego Jezusa? Można to wyczytać bezpośrednio z Ewangelii. Jeżeli Jezus nie wahał się narazić na tak wielki ból najbliższych sobie ludzi, znaczy to, że prawda, którą na tle tego bólu wówczas objawił, była warta tej ceny. A jest to prawda następująca: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?” Inaczej mówiąc: Bóg jest absolutnie pierwszy i wszelkie nasze układy z innymi, nawet te najważniejsze i całkowicie nas angażujące, powinniśmy umieszczać w życiodajnym słońcu woli Bożej. Wszystko, co ciemne między nami, co nie jest oświetlone tym słońcem, należy bezwzględnie wyrzucić, choćby sprawiało ból mnie i tobie. Epizod z dwunastoletnim Jezusem praktycznie obrazuje prawdę, której nauczał nas On dwadzieścia lat później, w czasie swojej publicznej działalności: „Kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26).

Co to znaczy „mieć w nienawiści samego siebie”, pokazał nam Pan Jezus w Ogrójcu. Cała Jego ludzka wola wzdragała się na myśl przed męką i dopiero mocą krwawej modlitwy umieścił On swoją ludzką wolę w świetle woli Przedwiecznego Ojca. Zatem „ciemne” to niekoniecznie od razu „złe” albo „skażone grzechem”. W ludzkiej woli Syna Bożego nie było najmniejszego zła ani skażenia grzechem. A jednak dopiero w straszliwym wysiłku modlitwy Chrystus otworzył do końca swoją ludzką wolę na wolę swojego Ojca.

Otóż podobnie jak w Ogrójcu pokazał nam Jezus, co to znaczy „mieć w nienawiści samego siebie”, tak wówczas, kiedy miał dwanaście lat, pokazał nam

praktycznie, co to znaczy „mieć w nienawiści ojca i matkę”. W rodzicielskim stosunku niepokalanej Matki i dziewiczego ojca do Jezusa nie było na pewno żadnego zła ani skażenia grzechem. A jednak nawet tak idealnym rodzicom potrzebna była bolesna, trwająca aż trzy dni, wytężona praca ducha, żeby to rodzicielstwo otworzyło się jeszcze głębiej na wolę Bożą.

Ewangeliczne wydarzenie, o którym tu mówimy, najczęściej chyba jest przywoływane w zakonnych nowicjatach i w seminariach duchownych. Decyzja dziecka, żeby się poświęcić całkowicie służbie Bożej, sprawia niektórym rodzicom wielki ból. Niekiedy wydaje im się, że tracą w ten sposób swoje dziecko, toteż chcieliby je odebrać Panu Bogu, próbują nawet wpłynąć na zmianę tej decyzji. Ból ten w zasadzie jest czymś naturalnym: wprawdzie zdradza jakąś ciemność, ale nie musi ona płynąć z grzechu.

Odwołanie się do bólu najświętszych Małżonków, kiedy zagubili Dwunastoletniego, często pomaga rodzicom uporać się ze swoim bólem i w końcu z radością towarzyszyć łasce powołania swojego dziecka. Kandydatom zaś do kapłaństwa lub do zakonu – jeśli zobaczą ból swoich rodziców w świetle Ewangelii o Dwunastoletnim – łatwiej zrozumieć, że są sytuacje, gdy lepiej przyczynić mimowolnie bólu swoim najbliższym niż odstąpić od woli Bożej. Jak więc widzimy, naprawdę wielką i potrzebną posługę wykonali dla nas wszystkich Maryja i Józef, kiedy z takim niepokojem szukali zagubionego Jezusa.

Na koniec, choćby tylko dla samego porządku, zwróćmy uwagę na aspektowość powyższych rozważań. Główny sens ewangelicznego wydarzenia wydaje się przecież leżeć gdzie indziej. Wydarzenie to podkreśla przede wszystkim prawdziwość Bożego synostwa Chrystusa. Jezus jest Synem Bożym nie dlatego, że w pewnym momencie został przez Boga uznany za syna, ale jest Synem Bożym przedwiecznie. Jest prawdziwie Synem Bożym również jako człowiek, od pierwszego momentu swojego ludzkiego istnienia. Jak ktoś powiedział: Jezus jest jedynym człowiekiem, dla którego Przedwieczny Ojciec jest od najwcześniejszego dzieciństwa Ukochanym Tatusiem. Z wydarzenia, które tu rozważamy, wynika jednoznacznie, że już jako dziecko był On prawdziwie Synem Bożym, suwerennym nawet wobec swojej Matki i swego dziewiczego ojca.

I to jest drugi istotny moment, zawarty w wydarzeniu z dwunastoletnim Jezusem. Ewangelia wyraźnie, choć dyskretnie, stawia problem następujący: Jak to możliwe, że Syn Boży był poddany zwykłym istotom stworzonym, choćby nawet tak niewyobrażalnie świętym, jak Maryja i Józef? I od razu w samym opisie wydarzenia znajdujemy odpowiedź na to pytanie: Poddanie Jezusa rodzicom w niczym nie naruszało Jego suwerenności Syna Bożego. Był On bowiem poddany rodzicom nie

dlatego, że musiał, ale dlatego, że sam chciał być poddany. Te treści wydają się głównym sensem ewangelicznego opowiadania o zgubieniu Pana Jezusa w świątyni.

Później Chrystus Pan z podobną jednoznacznością podkreślał swoją suwerenność wobec czekającej Go męki i śmierci. Utrapienia i śmierć są nieuniknioną częścią naszej ludzkiej doli, ale ta nieuchronność zupełnie nie odnosiła się do Chrystusa. On cierpiał i umarł nie dlatego, że musiał umrzeć, ale dlatego, że chciał przyjąć na siebie całe nasze poníženie i poświęcić się za nas bez reszty: „Życie swoje oddaję za owce... Nikt Mi go nie zabiera, lecz Ja od siebie je oddaję. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać” (J 10,15.18).